

Pechowiec

Umówiliśmy się na skwerze przy alei Królewskiej, naprzeciwko budynku starostwa. Zdążyłem przemierzyć plac wzdłuż i w poprzek, zanim zorientowałem się, że mam nieprzestawiony zegarek i jest już wprawdzie wpół do ósmej, ale według czasu letniego. To dlatego na ulicach pustki i tylko gdzieś tam widać puławian, idących bez pośpiechu i na ogół pojedynczo.

Cóż robić przez niemalże godzinę w ten rześki niedzielny poranek?

Skusił mnie park w pobliżu. Można by pobiec truchtem, dla rozgrzewki, aż ku obrzeżom parku - postanowiłem w nadziei, że spokojnie zdążę wrócić. Nietrudno jednak stracić poczucie czasu, gdy zniemacka sfrunie na ścieżkę mało znany ptak lub ni stąd, ni zowąd zjawi się wiewiórka i zahipnotyzuje cię pokazem zwinności.

Istne czary-mary, jakby bawiła się w chowanego. A potem ten piesek. Popiskiwał z cicha, wybiegając spod Świątyni Sybilli z podkulonym ogonem. Zgubił się albo ktoś go porzucił. Nie sposób było przejść obojętnie. Pomyślałem, że wspólnie zdecydujemy, co zrobić z biedactwem. Wówczas spojrzałem na zegarek. Właśnie mijała pora zbiórki.

Nie mogłem ani zdążyć, ani powiadomić drużynowego o swoich perypetiach. Tym razem zasada niezabierania komórki na zajęcia harcerskie okazała się co najmniej niezyciowa.

Nie jestem jednak pechowcem. Mama zgodziła się, co prawda nie bez wahań i perswazji, żebym zatrzymał psa. To on dostał takie imię - na pamiątkę mojej superprzygody.